

Bez wiz

4 października 2024

Do Chin wleciałem bez wizy. Pierwszy raz w moim polsko-chińskim życiu. Trwającym już 25 lat. W tym czasie bywałem w Państwie Środka 25 razy przynajmniej. Łatwiej mi wymienić te z 22 prowincji, 5 regionów autonomicznych, 4 miast wydzielonych i 2 specjalnych regionów administracyjnych, w których jeszcze nie byłem, niż te, gdzie stopa moja kiedyś tam stanęła.

Bywałem w Chinach w różnych rolach. Przyjmowano mnie jako parlamentarzystę i przewodniczącego Parlamentarnej Grupy Polsko-Chińskiej. Z wielką atencją, bo pod moim kierownictwem Grupa była największą w ówczesnym polskim parlamencie. A Chińczycy szanują liderów i lubią wszystko, co największe.

Goszczono mnie jako dziennikarza. Zapraszano na eksperckie konferencje i międzynarodowe fora. Bywałem reprezentantem polskich filmowców, promując tam polskie kino. Raz pomyłono mnie z Romanem Polańskim. Przynajmniej 2000 fanek czekało przed hotelem na jedno moje spojrzenie, uśmiech, a może i autograf.

Publikowałem w wielu chińskich mediach. Zagrałem główną rolę w filmie promującym Jingdezhen, stolicę chińskiej porcelany. Czekam na premierę naszego filmu o muzycznym projekcie polsko-chińskim. Miewałem tam przeróżne pobyty indywidualne, goszczony hojnie przez chińskich przyjaciół.

Zawsze jednak, nawet kiedy posiadałem paszport dyplomatyczny, aby wlecieć do Chin, musiałem mieć chińską wizę. A to wiązało się niekiedy z uciążliwym obowiązkiem wypełnienia, długiego jak Wielki Mur, formularza. Najeżonego podchwytliwymi pytaniami o posiadane żony, formalne wykształcenie, przebieg kariery zawodowej, liczbę dzieci, odwiedzane wcześniej państwa, adresy w czasie pobytu w Chinach.

Do tego musiałem robić zdjęcia swej twarzy w ściśle określonym

formacie. Wychodziłem na nich źle, bo zwykle nie patrzyłem tam, gdzie spojrzeć miałem. Podejmowałem ten trud nierzadko kilka razy, tracąc cenny czas i lekko zarobione pieniądze.

A teraz przyleciałem do Chin bez tej mordęgi. Po wylądowaniu dostałem jedynie formularz wielkości dużego znaczka pocztowego. Tam przepisałem podstawowe dane z paszportu, numer lotu przylotu i po raz kolejny zdeklarowałem swój „Sex”. Czyli płeć.

Po sprawnym zeskanowaniu mi twarzy i odcisków palców dostałem pieczętkę upoważniającą do dwóch tygodni pobytu w całych Chinach. Przy wyjeździe z Chin niczego już nie wypełniałem. Jedynie pieczętka na wyjazd i grzeczne xiexie.

W przyszłym miesiącu wybieram się do USA, a w przyszłym roku planuję wyjazd do Indii.

Przed wyjazdem do USA znowu musiałem wypełnić formularz. Formalnie nie wizowy, bo wiz do USA formalnie już obywatele Polski nie potrzebują. Ale gwarancji wjazdu do amerykańskich przyjaciół nie mam. Zawsze mogę dowiedzieć się na lotnisku, że USA nie zobaczę.

I teraz dręczy mnie pytanie. Dlaczego, pragnąc odwiedzić sojusznika militarnego Polski, należącego też do NATO, państwo uważające się za światowego czempiona zachodniej demokracji, nadal muszę przejść procedurę quasi wizową? Stresującą mnie. A obywatele USA przy wjeździe do Polski tego nie muszą.

Podobnie jest w przypadku aplikowania o wizę do „największej demokracji świata”, czyli do Indii. Dlaczego obywatel też demokratycznej Rzeczypospolitej, światowego czempiona wzrostu gospodarczego, musi tam prosić o wizę na tygodniowy wjazd? Co prawda obywatele Indii też muszą, ale system stworzony niedawno dawał im szybkie ścieżki pozyskania jej.

Inaczej jest w krytykowanym przez zachodnie media za brak postępów w demokracji Chinach. Tam spotkałem licznych polskich

turystów, leciałem w samolotach na trasie Warszawa-Chiny pełnymi polskimi turystami.

Bo teraz obywatele polscy mają zapewniony bezwizowy wjazd do Chin. Z uproszczoną do minimum procedurą, z przysłowiowym pocałowaniem zeskanowanej ręki.

Autorstwo: Piotr Gadzinowski

Źródło: Trybuna.info